

Kołodziejczyk, Edward

Przyczynki do historii "Dulag 121"

Przegląd Pruszkowski nr 3, 31-52

1984

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych oraz w kolekcji mazowieckich czasopism regionalnych mazowsze.hist.pl.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

OD REDAKCJI

W zeszytach 1 z 1980 r. i 2 z 1981 r. „Przeglądu Pruszkowskiego” drukowaliśmy pracę Edwarda Kołodziejczyka „Dulag 121 Pruszków”. Tym razem zamieszczamy cztery przyczynki do tego tematu.

EDWARD KOŁODZIEJCZYK

PRZYCZYNKI DO HISTORII „DULAG 121”

POMOC RADY GŁÓWNEJ OPIEKUŃCZEJ

Po kilku tygodniach trwania obozu w Pruszkowie okazało się, że w Milanówku, Podkowie Leśnej, Grodzisku i Komorowie, a także w innych miejscowościach tego rejonu nie ma już miejsca dla dalszych uchodźców. W samym Milanówku znalazło schronienie około 6 tysięcy warszawian, czyli prawie drugie tyle co stałych mieszkańców tego willowego miasteczka. Miejscowy komitet RGO wydawał tam codziennie średnio 2200 posiłków stałych. Prócz tego wydawano posiłki dla uchodźców, którzy udawali się dalej. Średnio, każdego dnia przewijało się ich tędy ponad tysiąc.

W dalej na zachód położonym Żyrardowie liczba uchodźców była w początkowym okresie znacznie mniejsza. Do połowy sierpnia przeszło przez to miasto zaledwie około 3 tysiące ludzi, z czego jedna trzecia — mimo zakazów — pozostała w mieście i z konieczności została objęta opieką Pol.K.O.

Również na podżyrdowskie wsie zaczęto wysyłać ewakuowanych dopiero pod koniec sierpnia. Było to podyktowane bardzo prozaicznymi przyczynami, mianowicie zarówno żyrdowskie wioski, jak i samo miasto, cierpiały biedę, nigdy zresztą nie zaliczając się do zamożnych.

Oprócz dorosłych, w zachodnich okolicach Warszawy rozlokowano około 5 tysięcy dzieci z zakładów dobroczynnych i wychowawczych, które ewakuowano ze stolicy. Każde nasilenie ewakuacji Warszawy powodowało, jak fala powodziowa, najpierw wzrost stanu liczebnego w obozie pruszkowskim, a następnie gorączkową wysyłkę do Rzeszy i gdzie popadło do GG. W takich sytuacjach zarówno Kamitet pruszkowski jak i RGO miały coraz większe trudności z ogarnięciem swoją pomocą wszystkich potrzebujących. W założonych naprędce szpitali-

kach brakowało — podobnie jak w Podkowie Leśnej, Grodzisku, Skierniewicach i Łowiczu — lekarstw, odzieży, obuwia i żywności. Mimo, że RGO dysponowała jeszcze pewnymi zapasami i mogła korzystać z dotacji władz okupacyjnych — zasoby szybko topniały. Również „centrala” niewiele była w stanie pomóc, Np. stan magazynów żywnościowych RGO w Krakowie wynosił 1 września 1944 roku: 47,1 kg cukru, 78 kg kaszy jęczmiennej, 876 kg surogatu kawy, 90 kg makaronów, 390 kg marmolady, 118 kg masła topionego, 11 200 kg mąki żytniej, 200 kg mąki pszennej, 39 kg miodu sztucznego, 692 puszki mleka skondensowanego, 14,2 kg soli kuchennej i 32 tony płatków owsianych.



Ostatnią „deską ratunku” dla wygnańców Warszawy były placówki RGO

Na posiedzeniu Rady Głównej 1 września postanowiono, że w rejon Warszawy należy wysłać pomoc. Po zebraniu wszystkich możliwych zapasów wysłano dwa wagony do Milanówka oraz po jednym do Łowicza i Skierniewic. Zawierały one, prócz żywności, również leki, odzież, naczynia kuchenne, pościel i środki do prania. Zdecydowano także, iż trzy awizowane z zagranicy wagony, wiozące mleko skondensowane, będą skierowane — podobnie jak poprzednie — do Milanówka, Łowicza i Skierniewic.

Piszząc o ludziach niosących pomoc warszawianom internowanym w obozie pruszkowskim nie można pominąć znaczącej pomocy, jaką niesły okoliczne majątki ziemskie. Stefan Górski, właściciel majątku Moszna koło Pruszkowa, przez cały czas exodusu przywoził niemal codziennie kartofle, warzywa, mleko i owoce, a z powrotem wywoził — ukrytych w beczkach, pod plandekami, lub przebranych za swoich pomocników — młodych warszawiaków. Przez cały okres Powstania, w zabudowaniach jego gospodarstwa, ukrywało się na zmianę kilkadziesiąt osób.

Inni właściciele okolicznych majątków jak Hozer, Ludwik Trylski (Reguły), Adam Marylski (Pęcice), Kazimierz Baciarelli (adm. — Parzniew) — również regularnie dostarczały mleko, kartofle, warzywa, udzielały pomocy i schronienia.

Dowództwo „Obroży” (Okręg AK Warszawa), które w czasie Powstania zostało w Warszawie, przekazało swoje zapasy finansowe — tysiąc pięćset rubli w złocie — pruszkowskiemu Komitetowi na potrzeby uchodźców. Ten złoty skarb przeniosła do Pruszkowa Helena Maliszewska. Całą sumę schowała w woreczku umocowanym wzdłuż lewego przedramienia nakrytego kocem. Na drugim ręku trzymała małą córeczkę, z którą wyszła z Warszawy razem z ludnością cywilną. Cało przeszła przez wszystkie kontrole i rewizje, a po wydostaniu się z obozu przekazała całą sumę w ręce ks. Edwarda Tyski — prezesa pruszkowskiego Komitetu.



Rozdział chleba w „Dulagu 121”, dostarczanego m.in. przez RGO

Chcąc pomóc zwalnianym i uwalnianym z obozu, nakarmić ich przed dalszą wędrówką w bardziej odległe rejony kraju — Komitet zorganizował w mieście kuchnię dla dorosłych i dla niemowląt oraz prowizoryczne ambulatorium-schronisko dla osób starszych, mieszczące się w siedzibie Zarządu w gmachu pruszkowskiego „Sokoła”. Przebywało tam zazwyczaj kilkadziesiąt osób starszych, pozbawionych opieki rodziny. Doglądali ich pruszkowscy lekarze, którzy przyjęli zasadę, że „warszawiacy nie płacą”. Zwyczaj ten szybko rozpowszechnił się po okolicy, obowiązywał również w Łowiczu i Skierniewicach.

Kuchnia Komitetu położona w centrum miasta wydawała dziennie po około 5 tysięcy jednodaniowych posiłków. Ogółem wydano uchodźcom z Warszawy, w okresie funkcjonowania obozu, 478871 posiłków, a przychodnia lekarska również podlegała pruszkowskiemu Komitetowi udzieliła w tym czasie 10875 porad lekarskich i opatrunków. (AAN-RGO, s. 53).

Pruszkowscy działacze zorganizowali w obozie „lotne” kantyny, które po cenach detalicznych dostarczały nieco żywności, papierosów i przedmiotów pierwszej potrzeby. Obrót finansowy tego „interesu” — kierowanego przez inż. Stanisława Zabielskiego — tylko pomiędzy 25 września a 13 października wyniósł blisko 500 tysięcy złotych.

Siostry Samarytanki, prowadzące zakład wychowawczy dla chłopców przy ulicy Szkolnej zorganizowały, w czasie nieobecności dzieci przebywających na wakacjach, schronisko dla opuszczających obóz. Z opieki siostr skorzystało ponad trzy tysiące ludzi, głównie dzieci.

Zorganizowano również systematyczne dostarczanie z zewnątrz paczek i listów. Samych paczek trafiało do obozu, w pewnych okresach, po 300 sztuk dziennie.

Leki i środki opatrunkowe przydzielane przez władze niemieckie były rozdysponowywane przez władze dystryktu w Sochaczewie. Stosowano następujący „klucz”: — 30 procent dla Pruszkowa, 30 proc. dla Milanówka i okolic, po 10 dla Łowicza i Skierniewic, zaś pozostałe 20 procent pozostawiano jako rezerwę interwencyjną.

W szpitalach i szpitalikach brakowało w sumie około 1500 łóżek szpitalnych. Chorzy leżeli na siennikach i materacach rozłożonych na podłodze. Za mało było żywności, koców i bielizny. Również personel medyczny pozbawiony był ciepłej odzieży, zwłaszcza swetrów. Zbliżająca się jesień zapowiadała dalsze zagrożenie chłodem, gdyż zaopatrzenie w węgiel było minimalne, a interwencje u władz okupacyjnych nie dawały żadnych rezultatów.

Według urzędowych danych niemieckich, do 22 września 44 roku przeszło przez „Dulag 121” 250 tysięcy warszawian. Ponadto, według orientacyjnych szacunków polskich udało się wyprowadzić nielegalnie z obozu bądź zwolnić, a tym samym uchronić od wywiezienia na roboty, około 17 tysięcy ludzi. Trzeba podkreślić, że chodzi tu tylko o tych, którzy w przeciwnym wypadku niechybnie zostaliby wywiezieni do Rzeszy. Jak wiadomo, zwalniani byli tylko chorzy — prawdopodobnie Niemcy nie chcieli sobie robić kłopotu z wysyłaniem chorych i liczyli, że po wyzdrowieniu delikwenci i tak trafią w ich ręce. Mogą o tym świadczyć liczne łapanki organizowane, po wysiedleniu Warszawy, w podstołecznych miejscowościach.

Z pewną rezerwą, moim zdaniem, należy przyjmować ówczesne „urzędowe” czy „oficjalne” dane dotyczące obozu pruszkowskiego. W obozie tym nie prowadzono ścisłej ewidencji, było to fizycznie niemożliwe ze względu na liczbę ludności i tempo wysyłki do GG i Rzeszy. Podawane zarówno przez Niemców jak i działaczy RGO dane opierają się prawdopodobnie na przybliżonej liczbie transportów, przy założeniu, iż do jednego wagonu towarowego mieściło się 50—60 osób, a przeciętny skład liczył około 50 wagonów. Potwierdzały by taki sposób liczenia dane liczbowe o pojedynczych transportach przychodzących do poszczególnych powiatów, gdzie tylko niekiedy podawano dokładne stany transportów.

Po ewakuacji Warszawy i zakończeniu dotychczasowej działalności obozu w dniu 5 listopada 1944 roku Niemcy zabrali wszystkie dokumenty dotyczące jego funkcjonowania. Dostępne dane na temat liczby warszawian, którzy przeszli przez „Dulag 121” pochodzą ze sprawozdań RGO, lecz i te dane były uzyskiwane ze źródeł niemieckich. Na podstawie tych danych, uwzględniając przypuszczalną liczbę uwolnionych z obozu nielegalnie oraz wysłanych do obozów koncentracyjnych (głównie na początku funkcjonowania obozu) można doliczyć się 500—510 tysięcy mieszkańców Warszawy, którzy przeszli przez „Dulag 121”. Niektóre, powojenne źródła polskie szacują tę liczbę na 600 a nawet na 650 tysięcy internowanych i wysiedlonych. Trudno zdecydowanie opowiedzieć się za jedną lub drugą wielkością — trzeba wziąć, pod uwagę, że jedne, jak i drugie liczby, wynikając z przybliżonych danych, skazane są wpływami propagandowo-politycznymi. Można przypuszczać, iż Niemcom zależało na minimalizowaniu skali wypędzania ludności naszej stolicy, natomiast Polakom — zarówno działaczom RGO jak i badaczom zbrodni hitlerowskich po wojnie — dane te nie mogły wydawać się obiektywne i były „korygowane” w górę. Jedno nie ulega wątpliwości — skala

barbarzyńskich działań okupanta, bez względu na liczby, będzie przez wieki świadczyła w historii o realizowanym zamiarze unicestwienia narodu polskiego.

BIURO POSZUKIWANIA RODZIN

W początku września Komitet w Pruszkowie zorganizował biuro poszukiwania rodzin. Decyzję o jego utworzeniu przyspieszyły listy nadchodzące z różnych stron kraju, a także od osób wywiezionych na roboty do Reichu. Funkcjonowała także nieoficjalna „poczta” zbierająca i przekazująca informacje o rodzinach i osobach rozdzielonych z bliskimi. Oto próbka takich informacji zebranych w Milanówku tylko 6 września 1944 roku:

- „Biskup Szlagowski jest zdrow na plebanii w Milanówku.
- Tadeusz Czacki — zabity, jego żonie kazano iść dalej i jest w Laskach razem z córką Zofią.
- Józef Tyszkiewicz z ulicy Litewskiej w Warszawie był wyprowadzony na rozstrzelanie (?).
- Jan Przeździecki zmarł na „Zieleniaku” na serce, pochowany przez córkę Basię.
- Xawerowie Grocholscy z dziećmi — zdrowi, wolni w Komorowie.
- Prof. Stanisław Wojciechowski z żoną przebywa w Leśnej Podkowie.
- Pisarz Kornel Makuszyński mieszka w Leśnej Podkowie.
- Prof. dr (filozof) Tatarkiewicz jest z żoną w Podkowie.
- Los rodziny ś.p. Jana Lipskiego: żona Antonina z Żółtowskich z córką Zosią dotąd pewnie w Warszawie. Dzieci: Terenia, Maria, Wojciech, Inka trafiły do Milanówka i są pod opieką Róży z Woronieckich Komarowej. Z nich Terenia 31 sierpnia zabrana z łapanki do Pruszkowa i po godzinie wywieziona gdzieś do Rzeszy.”

Takie informacje zbierano w określonych domach, wywieziano w uczęszczanych, stałych miejscach i oczywiście dostarczano do wspomnianego biura.

Jak wiemy, w początkowym okresie Powstania osoby młode, podejrzane o czynny udział w walce, były przesłuchiwane przez Gestapo, a następnie najczęściej wywożone do obozów koncentracyjnych w Oświęcimiu, Mauthausen, Ravensbrück (12 sierpnia wysłano tam 12 tysięcy kobiet), Dachau, Gross-Rosen i Sachsenhausen.

Z kolei większość transportów na przymusowe roboty kierowano do obozów pracy m.in. w Halle, Groningen, w rejon Hamburga, Stuttgartu, do Bawarii, Brandenburgii i na Po-

morze. Po pewnym czasie zaczęły nadchodzić stamtąd do Pruszkowa coraz liczniejsze listy.

Pruszkowskie Biuro poszukiwania rodzin w szybkim tempie rozwinęło aktywną działalność i zostało przekształcone w Wydział Ewidencyjno-Informacyjny. Kierował nim Stefan Cichoński. Na podstawie listów sporządzano w Wydziale „mapę” miejscowości, w których znaleźli się wysiedleńcy. Wynika z niej, że warszawian wysyłano z Pruszkowa do 120 miejsc pracy przymusowej na terenie Rzeszy. Powstańcy odeszli się z 30 oflagów i stalagów. Od sierpnia do grudnia 1944 roku z Niemiec odezwały się 1954 osoby poszukujące swoich rodzin. W styczniu 1945 roku nadeszły listy aż do 2175 osób wywiezionych. Łącznie z korespondencją krajową, do końca 44 roku nadeszło do Wydziału około 12 tysięcy zapytań o losy bliskich i znajomych.

Wiele listów z Niemiec adresowanych było do poprzednich miejsc zamieszkania, co sprawiało, że nie dochodziły one do adresatów (zwłaszcza w Warszawie) i poczta zwracała je do nadawców. Można sobie wyobrazić jakie to wywołało u nich nastroje.

W tej sytuacji RGO wystąpiła do władz okupacyjnych z wnioskiem, by poczta taką korespondencję kierowała do Rady Głównej, która również uruchomiła biuro poszukiwań z siedzibą w Krakowie przy ul. Mały Rynek 8.

Także za pośrednictwem władz niemieckich czyniono starania, żeby komendy obozów — tak jenieckich jak i pracy — poinformowały tamtejszych Polaków, że listy do Warszawy należy opatrywać adresem RGO, która po sprawdzeniu gdzie przebywa adresat prześle list na właściwy adres.

Zabiegi te przyniosły pozytywne wyniki i coraz więcej zapytań kierowanych było wprost do RGO. Tam również kierowano prośby z obozów jenieckich o paczki żywnościowe i odzieżowe. Niektóre prośby krakowska RGO przekazywała do realizacji miejscowemu PCK. W jednym z pism skierowanych do PCK czytamy: „W myśl wczorajszej rozmowy telefonicznej przesyłam Panom w załączeniu prośby o paczki od por. Tyszkiewicza Aleksandra (ps. „Góral” — walczył na Mokotowie — przyp. EK) nr 224604, Stalag pl. pch. Skoryny Jerzego nr 103096, M-stammlager 344 Teillager Lamsdorf O.S., ppor. Brzeskiego Lecha nr 102484, M-stammlager 344 Teillager Lamsdorf O.S. Ppor. Brzeski prosi o przesłanie chleba i koniecznie cebuli, gdyż jest zagrożony skorbutem, oraz tłuszczów i papierosów. Jerzy Skoryna ps. „Sielawa” prosił o paczkę z tłuszczem, mięsiwem i cebulą bo ma skorbut — możliwie szybko. W załączeniu przesyłam panom paczkę za-

wierającą: 1 rękawice futrzane, 4 ścierki, 1 parę skarpet męskich, 1 parę kałeson, 1 koszulę z prośbą o przekazanie również tych rzeszy pl. pch. Jerzemu Skorynie)." (AA-RGO, s. 55).

RATOWANIE MIENIA WARSZAWIAN

Po wybuchu Powstania, Polski Komitet Opiekuńczy miasta Warszawy i Warszawy-Powiat przenieśli się do Pruszkowa i działały tu obok miejscowego komitetu kierowanego przez księdza Edwarda Tyszkę. Wobec nienajlepszej pracy obu zarządów kierowanie komitetami przejęli członkowie Rady Głównej: Janusz Machnicki (wiceprezes RGO) i Stanisław Wachowiak.

W połowie października 1944 roku, po całkowitym zakończeniu ewakuacji mieszkańców stolicy, oba komitety rozpoczęły przygotowania do wywożenia dóbr państwowych i prywatnych. 17 października w siedzibie pruszkowskiego Pol.K.O. spotkało się kilkanaście osób by omówić jakie kroki należy podjąć żeby akcję ratowania dóbr uczynić jak najbardziej efektywną.

Sytuacja nie była zbyt korzystna — Niemcy spieszyli się nie tylko z rabunkiem naszej Stolicy, ale i jej systematycznym zniszczeniem. Na szczęście działacze RGO mieli za sobą, daną tuż po kapitulacji, obietnicę von dem Bacha — będącą potwierdzeniem zapisu zawartego w akcie kapitulacyjnym. Punkt 10 rozdziału I mówił bowiem: „(...) Umożliwi się ewakuację przedmiotów posiadających wartość artystyczną, kulturalną i kościelną. Dowództwo niemieckie dołoży starań by zabezpieczyć pozostałe w mieście mienie publiczne i prywatne. Szczegóły ewakuacji będą uregulowane osobnym porozumieniem”.

Powołując się na te postanowienia udało się Polakom wyegzekwować od Niemców — choć tylko połowicznie — ich respektowanie.

Akcja wywożenia dóbr, chociaż wywoływała w społeczeństwie wiele negatywnych opinii, wydatnie zasilila ewakuowanych warszawian w odzież, bieliznę i obuwie, co miało swoje niebagatelne znaczenie wobec nadchodzącej zimy.

Zawarte w Akcie Kapitulacyjnym Powstania Warszawskiego postanowienia mówiące o umożliwieniu przez stronę niemiecką ewakuacji przedmiotów posiadających wartość artystyczną, kulturalną i kościelną oraz „zabezpieczeniu” pozostałego w mieście mienia publicznego i prywatnego, pozwoliły Polakom na przygotowanie akcji ratowania dóbr.

Nadanie temu przedsięwzięciu zorganizowanego charakteru nie było na rękę hitlerowcom. Utrudniało rabunek na własne

konto najcenniejszych rzeczy, lecz sformułowania zawarte w Układzie były jednoznaczne i choć z oporami, to jednak sprawa ewakuacji posuwała się do przodu. Po trwających kilka dni rozmowach z władzami dystryktu warszawskiego szefem cywilnej ewakuacji mienia wyznaczono dr Rodiga, a z ramienia RGO — Mariana Drozdowskiego.

Tego samego dnia, tj. 18 października 1944 roku wieczorem, na spotkaniu w Pruszkowie, sporządzono listę 350 osób wydelegowanych i upoważnionych do robót związanych z wywozem dóbr prywatnych ze stolicy.

Większość ze zgłoszonych to ochotnicy, którzy zapisywali się z nadzieją, że uda im się dotrzeć do swoich mieszkań i będą mogli uratować co cenniejsze rzeczy. Mieli ponadto obieca-
ne, że otrzymają przydziewek, wyżywienie i po 500 zł oraz, że będą mogli wziąć dla siebie pewną, ograniczoną ilość odzieży z przeznaczeniem dla własnej rodziny.



Brakowało transportu do wywożenia mienia — wiele rzeczy uległo zniszczeniu...

Zbieranie i wywóz miały się odbywać pod nadzorem SA i policji. Polaków wyznaczonych do zbierania mienia podzielono na 10-osobowe grupki pracujące pod nadzorem Niemców. Nadzór ten sprawowało 30 SA-manów i 45 Schutzpolizei przydzielanych zazwyczaj parami do każdej dziesiątki Polaków.

Wywózzenie rozpoczęto 21 października, od rana. Pracowano tylko podczas pełnego dnia tzn. od 6.30 do trzeciej po połud-

niu. Wyżywienie dowożono z Pruszkowa. Pewnym uzupełnieniem była żywność znajdująca w piwnicach, lecz było to dzieło przypadku i najczęściej kończyło się na obozowej zupie jarzynowej i gorzkiej kawie zbożowej z kawałkiem chleba. Zabierane ze sobą po kryjomu — wódka i papierosy — służyły do przekupywania eskorty, która w zamian za te wiktuały pozwalała oddać się do własnego domu.

Gdy jednak okazało się, że większość mieszkań zamieniona jest w zwaly gruzu i gdy Niemcy zabronili zabierania dla siebie nawet własnych rzeczy — entuzjazm do pracy przy ewakuacji znacznie zmalał. Następowala ciągła rotacja — jedni, po przekonaniu się jaki jest stan domu rodzinnego, rezygnowali, na ich miejsce zgłaszali się następni — z tym samym zamiarem dotarcia do opuszczonego przed paroma tygodniami mieszkania. Szybko rezygnowali również ci, którzy mieli cichą nadzieję obłowić się na własne konto.

Po rezygnacji z udziału w akcji ludzi z „wolności”, zaangażowano nowych, głównie spośród internowanych w obozie. W czasie werbunku podawano, że mogą się zgłaszać wyłącznie mieszkańcy Śródmieścia, gdyż tylko ten teren — jako zajęty do końca przez powstańców — nie był ogołocony z dobytku i spalony, jak stało się z wcześniej zdobytymi dzielnicami. Rozczarowanie jakie ich spotkało było tym większe, że Niemcy nadal nie pozwalali nikomu nic zabrać, a często również dotrzeć do swego mieszkania. Jedyłą dobrą stroną udziału w tej akcji było odsunięcie w czasie, a czasami nawet uniknięcie, wywozu do Niemiec czy GG.

Praca grup zbiórkowych była zorganizowana w ten sposób, że jedni wynosili rzeczy z mieszkań przed domy, zaś drudzy wywozili je ręcznymi wózkami do miejsc skąd można było łupy odwozić samochodami.

Obok drużyn pod firmą RGO, wywożeniem majątku Stolicy Polski zajmowały się także (a może przede wszystkim) inne organizacje — pracujące na rzecz okupanta.

Już po kilku dniach weszła w życie niepisana zasada, że wszystkie rzeczy nowe zabiera niemiecka policja.

Z kolei Wehrmachträumungstab wywoził wszystko, co mogło być przydatne dla wojska.

Zivilraumungstab nadzorował wywóz pozostałego mienia prywatnego — tego, którym nie zajmowały się ekipy RGO. Instytucja ta, udzielająca zezwoleń na wywóz osobom bądź instytucjom niemieckim, dozwalała i Polakom, ale tylko do 25 października, wywieźć wyposażenie warsztatów rzemieślniczych i zapasów surowców. Polakom nie wolno było przy tym udawać się do własnych mieszkań i wywozić rzeczy osobistych.

Według początkowych zarządzeń niemieckich, wywożenie rozpoczęte 21 października, miało trwać tylko 10 dni i objąć około 2400 domów.

Zbierane rzeczy: pościel, tekstylia, obuwie, materace, dywany, zastawy stołowe, srebra, maszyny do szycia i inne wartościowe sprzęty gospodarstwa domowego — odwożono samochodami do magazynów-sortowni w obozie pruszkowskim i fabryce „Tudor” w Piastowie.

W ciągu trzech pierwszych dni akcji grupy RGO wywiozły z Warszawy zaledwie 40 ton rzeczy, a w tym około 70 procent pościeli. Wiele rzeczy było zanieczyszczonych, a pewna część również zawszona.

Po paru dniach Niemcy ściągnęli kilkanaście zarekwirowanych na drogach podwarszawskich furmanek chłopskich. Przy ich pomocy przewożono rzeczy do tymczasowych magazynów warszawskich. Jeden mieścił się w byłej siedzibie warszawskiego Pol.K.O. przy ulicy Mokotowskiej 48, zaś drugi przy Hożej 53.

Mimo tych zabiegów ze strony Niemców, nadal brakowało środków transportu, a mienie leżało stosami na brzegach chodników niszcząc i czekając na zabranie do magazynów.

Co wartościowsze i ładniejsze rzeczy kradli wszyscy, którzy mieli po temu okazję — zarówno robotnicy rozładowujący jak i kolejarze, straż obozowa i policja. 24 października z 20 kompletów pościelowych, skierowanych do Pruszkowa z przeznaczeniem dla tamtejszego personelu RGO, udało się dowieźć na miejsce jedynie cztery komplety, resztę zabrali po drodze Niemcy.

Na magazyn i sortownię przeznaczono w „Dulagu 121” halę nr 3, natomiast w hali nr 13 mieszkali internowani robotnicy używani do wywozu mienia z Warszawy. W samym magazynie zatrudniono 10 pracowników, którzy od 27 października prowadzili sortowanie zwożonego mienia. Szefem tego magazynu mianowano Andrzeja Wachowiaka (brata wiceprezesa RGO). Magazynu pilnowało czterech funkcjonariuszy SA.

W okresie trwania zbiórki mienia, do sortowni w obozie pruszkowskim przywieziono samochodami i wagonami 50950 kg dobytku. Po posegregowaniu wydano ludności, głównie warszawskiej, 77.008 kilogramów. Różnica, czyli 3.942 kg, została po prostu rozkradziona, bądź uległa zniszczeniu.

Posortowane dobra podzielono następująco: lekarze obozowi i pielęgniarki oraz zatrudniona w obozie inteligencja — otrzymali 4.300 kg, robotnice sortowni (były to z reguły kobiety schwytane w ulicznych łapankach) — otrzymały 2.550 kg, internowani w obozie — 7.600 kg, do różnego rodzaju insty-

tucji charytatywnych i zakładów opiekuńczych wysłano 17.400 kg, a szpitalom i sierocińcom przekazano 34.800 kg. Ponadto, na różnego rodzaju interwencyjne żądania niemiec-
kie wydano 4.858 kg dóbr. Nie wiadomo co się stało z braku-
jącą do „bilansu” resztą wynoszącą 5.500 kg.

Wszystkie te dane pochodzą ze sprawozdania sporządzonego
po zakończeniu akcji przez Andrzeja Wachowiaka dla RGO.
(CAKC, 2266/7 II, sygn. 202/III/35, t. 1).

Wspomnane sprawozdanie poza powyższym, ogólnym roz-
działem, podaje również niektóre imienne dane. Między inny-
mi naczelnej siostrze obozu Alicji Tyszkiewicz, wydano do jej
dyspozycji, 5.300 kg, szpital powiatowy w Pruszkowie otrzy-
mał 3.500 kg, zakład opiekuńczy w Olsztynie — 2.500 kg,
ksiądz Marian Sikora (kapelan obozowy) — dla biednych —
450 kg, punkt opatrunkowy w Piastowie — 400 kg, ksiądz
Jaworski — dla ubogich — 180 kg, dom parafialny w Żbiko-
wie — 2.000 kg, szpital w Tworkach — 4 tony, obóz w Oza-
rowie — 500 kg oraz Pol.K.O. w Częstochowie i Radomiu
po 4 tony.

Tydzień później rozpoczęła działalność druga sortownia
umieszczona w Piastowie w zakładach „Tudor”. Zwieziono tu
łącznie 109 ton mienia warszawian. Po uporządkowaniu i po-
segregowaniu wydano szpitalom, sierocińcom i zakładom cha-
rytatywnym — 23.370 kg, Komitetom RGO w Łowiczu, Skier-
niewiczach i Sochaczewie — 29.100 kg łącznie, Komitetowi w
Piastowie 28 ton, zaś do dyspozycji kierownictwa sortowni
pozostawiono 8.650 kg. Pozostawienie tak dużej części dóbr
w Piastowie było spowodowane tym, że wieść o rozdawniu
wysiedlonym odzieży i bielizny lotem błyskawicy rozeszła się
po całym Generalnym Gubernatorstwie wywołując najazd
potrzebujących. Do Piastowa zaczęły zdjeżdżać gromady ludzi
z najdalszych stron, wiedzione nadzieją, że coś otrzymają.

Do składu w „Tudorze” kilkakrotnie wdzierali się mundu-
rowi Niemcy, którzy wynosili walizy z najcenniejszą zawar-
tością, przywłaszczając sobie w ten sposób 772 kg dóbr.

W czasie całej akcji prowadzonej przez RGO zebrano w
Warszawie 189.950 kg mienia prywatnego. Było w tym:
37.900 kg bielizny i pościeli, 45.600 kg poduszek i pierzyn,
33.250 kg materaców, 16.530 kg bielizny osobistej, 21.000 kg
odzieży, 15.520 kg dywanów i kilimów, 8.180 kg obuwia,
7.570 kg artykułów metalowych, 4.400 kg maszyn do szycia.

Według oceny Andrzeja Wachowiaka zawartej we wspom-
nianym sprawozdaniu — najniższą wartość jednego kilograma
towarów zebranych w Warszawie należy szacować na co naj-
mniej 200 złotych, natomiast koszt sortowania i dystrybucji
tego statystycznego kilograma wyniósł zaledwie około 5 zł.

Warto mieć na uwadze te liczby gdy będzie się rozpatrywać celowość i stronę etyczną tej akcji, która już w czasie jej trwania i potem wzbudziła wiele emocji i nawet oskarżeń.

30 października, przed magazynem na Mokotowskiej 48 załadowano na samochody prywatny dobytek niektórych działaczy warszawskiej delegatury RGO, zresztą pod ich osobistym nadzorem. Wywołało to — w zestawieniu z rygorami nałożonymi na warszawian pracujących przy wywożeniu mienia — zrozumiałe oburzenie społeczeństwa i objawy zawiści. Obiecywany wywożącym mienie przywilej zabrania swojego dobytku objął, jak się okazało, tylko kilka osób z kierownictwa warszawskiej delegatury RGO.

Jakby na ironię, 2 listopada rano, prawie cała pozostająca w Warszawie grupa robotników i pracowników RGO wraz z kierownikiem akcji Marianem Drozdowskim, zwartą kolumną została wyprowadzona z miasta pod eskortą SA-manów. Pomiędzy Szczęśliwcami a Opaczem, po kilkugodzinnym przetrzymywaniu, poddano szczegółowej rewizji wszystkie plecaki i tobołki oraz same osoby. Zabierano wszystkie rzeczy nowe i biżuterię.

Do 6 listopada pozostało w Warszawie jeszcze 25 ludzi pod komendą działaczy RGO: Augustyńskiego i Świderskiego w celu wyekspediowania pozostałych w magazynach rzeczy.

W ciągu prawie 13 dni zbiórki ogołocoło z dobytku 12.189 pomieszczeń w 464 domach.

Podejmujący się akcji wywożenia mienia z Warszawy byli świadomi szczególnej niepopularności z jaką ta akcja spotkała się ze strony zdezorientowanego społeczeństwa określającego tę akcję mianem zwykłego „rabunku stolicy” i kolaboracji z władzami okupacyjnymi. „Niekórtzy się obłowili” — mawiano.

Jednym z robotników „zbiórkowych” był Władysław Bieliński, którego Niemcy schwytali w czasie łapanki na Grochowie. Jego droga do grup wywożących mienie była nietypowa. Początkowo Niemcy zapędzili pojmanych do budowy umocnień ziemnych na Gocławiu, a 20 sierpnia popędzono wszystkich na Wolę, do kościoła Świętego Wojciecha. Po paru godzinach sformowano dużą grupę mężczyzn i pod eskortą poprowadzono w stronę Dworca Zachodniego. Gdy kolumna wyszła na ulicę Prosta, żandarmi „zarekwirowali” część ludzi, wśród których znalazł się i Władysław Bieliński. Okazało się, że grupa ta będzie pracować przy zbieraniu i wywożeniu mienia Warszawy ze zdobytych już przez Niemców ulic.

— Pracowaliśmy po dziesięciu — wspomina Władysław Bieliński. Pilnował nas blisko 60-letni rezerwista Wehrmahtu, bardzo łasy na srebra.

Najpierw z piwnic i mieszkań ulicy Górczewskiej wynosiliśmy wartościowe meble, ubrania, srebra, porcelanę i sprzęty domowe. Często w piwnicach znajdowaliśmy zabitych, a czasem... ukrywających się żywych.

Po pewnym czasie, przez kilka dni, Niemcy wozili nas samochodami do fabryki Monopolu Tytoniowego na Dzielnej, skąd wywoziliśmy maszyny i urządzenia. Po „tytoniówce” przyszła kolej na fabrykę margaryny, skąd Niemcy również zabierali maszyny i urządzenia.

Po upadku Starego Miasta wywoziliśmy mienie prywatne z piwnic na Bielańskiej i Tłomackiem. Po Starówce przeniesiono nas na Żoliborz.

Najczęściej pakowaliśmy wszystko w prześcieradła i powłoczki. Zdarzało się, gdy Niemiec nie patrzył w naszą stronę, że ładowaliśmy do takiego tłumoka i materace, i sienniki wypchane słomą — żeby było więcej.

Wozili nas też na bocznicy kolejową Dworca Zachodniego do przeładowywania wywożonych rzeczy z samochodów na wagony.

Początkowo, na noc, odwozili nas na ulicę Bema, gdzie w jakichś barakach byliśmy zakwaterowani. Od czternastego września wywozili nas każdorazowo do obozu w Pruszkowie i tam nocowaliśmy w hali, jak pamiętam, numer trzystaście. Na jedzenie nie narzekaliśmy — zupy jarzynowej i chleba otrzymywaliśmy pod dostatkiem.

Zaraz potem „wypożyczyło” nas SS do wywożenia z gmachu sądów na Lesznie worków z kartotekami skazanych. Pracowaliśmy tam jeden dzień, ale pamiętam go do dziś. Esesmani, stojąc na półpiętrach poganiali nas kolbami, nie dając ani chwili wytchnienia. Trzeba było, prawie biegiem, pędzić z dołu do góry, z pięter na parter, szybciej i szybciej, tam i z powrotem, pot zalewał oczy, na szczęście trwało to tylko jeden dzień.

Następnego dnia wróciliśmy do poprzedniego zajęcia. Zdarzało się i tu, że w piwnicach odkrywaliśmy przerażonych ludzi. Niektórzy dawali się namówić i wychodzili, by pomiędzy nami zabrać się samochodem. Uciezki próbowali już w drodze, lub później, w obozie. Inni pozostawali w swoich kryjówkach, mieli trochę prowiantu, dostęp do wody, ponadto myszkowali po innych piwnicach i chyba jakoś przeżyli...

W mieście spotykaliśmy różne grupy pracujące przy wywożeniu mienia naszej Stolicy. W sumie, w tej hali w Pruszkowie, było nas około tysiąca.

Wyjeżdżając z obozu ubieraliśmy się w byle co, jakieś drelichy czy rozlatujące się łachy, a powracaliśmy ubrani w podwójne, założone jeden na drugi, solidne garnitury. Wieczorem, po powrocie odstępowaliśmy je siostram w obozie —

czasem za prowiant, czasem za wódkę, którą następnie poiliśmy naszego „dziadka” jak nazywaliśmy eskortującego nas Niemca. Można z nim było wiele rzeczy załatwić przy pomocy gorzałki, lub srebrnych przedmiotów, które zaraz pakował do chlebaka.

RGO z naszą pracą nie miała nic wspólnego, nie nosiliśmy żadnych opasek, a wszystko co zebraliśmy Niemcy wywozili do Rzeszy”.

Władysław Bieliński przebywał w Pruszkowie do połowy października, a następnie, przy pomocy „dziadka”, uciekł i w Głoskowie za Piasecznem, doczekał wyzwolenia.

Akcja wywożenia dobytku prywatnego warszawian, kierowana przez RGO, z powodu ograniczonego czasu jej trwania i niedostatku środków transportu, objęła tylko tereny pomiędzy Alejami Ujazdowskimi, ulicą Piusa (dziś Piękna), Marszałkowską i Aleją Sikorskiego (Aleje Jerozolimskie). Wiele pościeli itp. zamokło, nie zabrane w porę ze stosów przygotowanych na skraju chodników. Brak transportu, złodziejstwo, marnotrawstwo — „lepiej niech się zmarnuje niż mieliby wziąć Niemcy” — spowodowały, że wiele rzeczy nie dotarło do najbardziej potrzebujących.

Mimo tych zastrzeżeń akcja ta „wlała” z powrotem w polskie społeczeństwo pewną ilość dóbr materialnych. Jednak wielu określało wywożenie dóbr przez RGO jako „rabunek Warszawy”. Wydaje się to być krzywdzące dla organizatorów tej akcji i nie odpowiadające intencjom Polaków, słuszne zaś w odniesieniu do faktycznego rabunku prowadzonego przez okupanta.

Różnica zdań i opinii wokół tej sprawy podważyła nienaganą dotychczas opinię RGO w społeczeństwie polskim. Potwierdzeniem takiej oceny niech będzie jeden z listów jakie nadeszły na ręce prezesa Rady Głównej Konstatego Tchorznickiego.

Pan Alfred Siwicki pisał 23 listopada 1944 roku: „Panie Prezesie! Jak Pan może kryć swoim nazwiskiem i stanowiskiem, najpospolitsze zbrodnie, których dopuszczają się na nieszczęśliwych warszawiakach funkcjonariusze RGO? Dlaczego nie ma w centrali należycie zorganizowanej kontroli i inspekcji?

Czy wie Pan, co „zdziałała” placówka RGO w Milanówku? Weszła w spółkę z adwokatem (...) i umożliwiła mu wymianę 3 milionów złotych (w „góralach” na drobne (w Piotrkowie), przy czym warszawiacy otrzymali za „górala” tylko 400 zł. I to ma być placówka narodowej, obywatelskiej, samopomocy społecznej? Wstyd!

Inna podwarszawska placówka utworzyła spółkę z lekarzem i funkcjonariusze jej zrobili z nim wspaniały interes — ubrali od stóp do głów, obdarowali swoje rodziny i nie rodziny (kochanki, przyjaciółki i przyjaciół), a ogół podopiecznych pozostał nagi...

Może się Pan zainteresuje, skąd to pochodzi garderoba warszawiaków, której pełno na straganach w Pruszkowie, Milanówku, Grodzisku, Błoniu, Sochaczewie, Skierniewicach, Łowiczu itd.

Za tę grabież, za udział w rabunku Warszawy przez wojska zaborcze, muszą ponieść wszyscy pracownicy RGO i wszyscy jej kierownicy z Panem na czele, pełną i surową odpowiedzialność.

Niech Pan wybierze się w podróż pociągiem podwarszawskim, trzecią klasą i niech no Pan posłucha co ludzie opowiadają o „porządkach” w RGO i jak zamierzają po wojnie rozprawić się z grabicielami. Wstyd spali Panu policzki. Z poważaniem — Alfred Siwicki, Nieborów, ad Skierniewice.” (AAN-RGO, s. 55).

Prezes Tchorznicki odpisał panu Siwickiemu: „...Imieniem Rady Głównej Opiekuńczej uważam sobie za obowiązek podziękować Panu za zawiadomienie mnie o sprawach poruszonych w Pańskiej kartce z dnia 23.11.44 r., nie wątpię bowiem w obywatelskie pobudki, które Panem w tym wypadku kierowały. Ewakuacja mienia prywatnego mieszkańców Warszawy nie była przeprowadzana przez Centralę RGO, a prowadzona w tym kierunku akcja przez miejscowe czynniki opiekuńcze pod firmą RGO spotkała się ze strony Centrali ze stanowczym sprzeciwem i natychmiastowym wstrzymaniem tej akcji.

Zawsze i wszędzie na katastrofach tej miary, jaka wydarzyła się pod Warszawą, niskie instynkty ludzkie znajdowały swój żer. Wynikiem tego jest obraz, który Pan maluje w swojej kartce, a który jest nam niestety również dobrze znany za pośrednictwem własnych obserwacji.

Rada Główna Opiekuńcza odpowiada wyłącznie za swoją działalność, a więc za wszelkie nadużycia popełnione przez jej personel wykonawczy — o ile te nadużycia toleruje.

Z przesłanych nam informacji Rada uczyni właściwy użytek. Z poważaniem — Konstancy Tchorznicki, Prezes.” (op.cit.)

Mimo, że list pana Siwickiego pisany jest w tonie dosyć napastliwym, a sformułowane w nim oceny są uproszczone i niesłuszne, to jednak „nie ma dymu bez ognia”, jak mówi polskie przysłowie i list ten, chociaż subiektywny, (oddaje ton opinii bulwersujących ówczesne społeczeństwo polskie.

Potwierdzili to w części inspektorzy Rady Głównej: Rozwadowski i Zakrzewski, wysłani w celu zbadania sytuacji w Polskim Komitecie Opiekuńczym warszawskim i Pol.K.O. Warszawa-Powiat, o pracy których dochodziły do Krakowa niepokojące wieści.

Obserwacje poczynione przez przedstawicieli RGO w dniach 22—29 listopada potwierdziły informacje o niedociągnięciach w pracy Komitetów warszawskich, przeniesionych teraz do Pruszkowa.

„Chaos organizacyjny” — jak napisali w protokole pokontrolnym wizytatorzy — wynikał nie tylko z braku ścisłego podziału kompetencji między Delegaturą w Pruszkowie i Delegaturą warszawską, lecz przede wszystkim z nieodpowiedzialnej i chaotycznej pracy Komitetu jako całości, jak też wielu urzędników z osobna. Stwierdzono między innymi, że urzędnik Komitetu warszawskiego zjawiał się przy ogonku czekających interesantów i rozdawał zapomogi z teczki pełnej pieniędzy, bez rozliczeń, pokwitowań i ewidencji. Rzeczy wywiezione z Warszawy rozdawano bez żadnej hierarchii potrzeb i braku kontroli towarów. Powodowało to liczne kradzieże i nadużycia. W magazynie zastano trzech urzędników i ani jednego pracownika fizycznego. Po trzech miesiącach pracy magazynu brak jakiegokolwiek porządku; zasad magazynowania, jak też podstawowego inwentarza magazynowego.

W dużej mierze jest to praca pozorna za 200 złotych dziennej diety oraz dająca możliwość przydzielania sobie darów dostarczanych z zagranicy: odzieży z darów szwedzkich, kostek bulionowych ze „Społem” oraz rzeczy wywiezionych z Warszawy, które miały służyć akcji pomocy. Pracownicy Delegatury lekceważyli swoje obowiązki, czego przykładem było niezgłoszenie się przez trzy tygodnie do Kreishauptmanna po odbiór przydziałów dla ludności. Zgłaszano się natomiast po przydziały dla samych urzędników, które Kreishauptmann odrzucił z adnotacją: „najpierw trzeba pomyśleć o swoich obowiązkach względem swoich podopiecznych”.

W Milanówku natomiast doszły do głosu nieporozumienia pomiędzy Ekspozyturą Komitetu Sochaczew—Błonie a Komitetem miejscowym. W Ekspozyturze brak było odpowiedniego dozoru i troskliwości nad otrzymanym towarem, czego przykładem było skradzenie, względnie zabranie przez żandarmerię niemiecką, 50 koców przysłanych z Radomia.

W innych Komitetach podwarszawskich praca organizacyjno-społeczna stała na znacznie lepszym poziomie, mimo że ciążyła na niej ujemna opinia społeczeństwa o RGO spowodowana wadliwą działalnością Komitetu warszawskiego. Z tego

względu, bardzo niechętnie przyjmowano dary wysyłane z Pruszkowa a pochodzące z „grabieży Warszawy”. (AAN-RGO, s. 54).

Wyjaśnieniem zarzutów w sprawie wymiany „górali” zawartych w liście p. Siwickiego niech będzie fragment informacji przywiezionej wcześniej, bo 28 sierpnia 1944 roku przez innego wysłannika RGO, pana Polańskiego, który w sprawozdaniu z wyjazdu w okolice Warszawy napisał m.in. „Trudności z pięćsetkami („góralami” — przyp. EK) trochę się ułożyły, o tyle, że za 500 zł otrzymuje się już zamiast 300 złotych — 400. Powodem trudności z pięćsetkami jest z jednej strony za duża ich ilość w obiegu, a z drugiej — brak drobnych”. (op. cit.)

Natomiast trudno zgodzić się z twierdzeniem pana Thorznickiego, iż „ewakuacja mienia prywatnego mieszkańców Warszawy spotkała się ze strony Centrali ze stanowczym sprzeciwem i natychmiastowym wstrzymaniem tej akcji”. W rzeczywistości, RGO jeszcze 11 listopada nakazywała Andrzejowi Wachowiakowi doprowadzenie do końca akcji ewakuacyjnej. W tym samym piśmie polecono również przejście zebranego mienia znajdującego się jeszcze na dworcu towarowym w Warszawie i oddanego przez władze niemieckie dla RGO oraz wysłanie całości — łącznie z zapasami magazynu w Piastowie — według dyspozycji Rady.

Akcja ewakuacji mienia prywatnego mieszkańców Warszawy objęła tylko niewielki fragment stolicy. Pozostała część miasta była już wcześniej splądrowana i zniszczona przez okupanta. Zagrabione przez hitlerowców dobra były wywiezione do Rzeszy i nic z nich nie trafiło do rąk wysiedlanych warszawian, dlatego też, mimo kontrowersyjności opinii publicznej na temat tej akcji, trzeba wziąć pod uwagę, że zasiliła ona w cieplejszą odzież, bieliznę i obuwie pewną liczbę potrzebujących, co wobec niezwykle trudnych warunków bytowania miało swoje znaczenie, pozwoliło przetrwać najgorszy okres ostatniej okupacyjnej zimy. Trzeba oddać sprawiedliwość organizatorom tej akcji, którzy mimo obdarzania ich mianem „grabieżców”, „kolaborantów” itp. odłożyli na bok emocje i ratowali to wszystko co było jeszcze do uratowania. Należy przy tym zgodzić się ze stwierdzeniem prezesa RGO iż „zawsze i wszędzie, na katastrofach tej miary jaka wydarzyła się w Warszawie, niskie instynkty ludzkie znajdują swój żer”. Potwierdza tę gorzką prawdę i nasza obecna rzeczywistość, ale... to już inny temat.

WOŁANIE O RATUNEK

Wieści o losie warszawian w obozie pruszkowskim zaczęły przenikać coraz dalej, lecz dopiero w tydzień po uruchomieniu obozu radiostacja „Hallerowo” Podokręgu Zachodniego Obszaru Warszawskiego AK wysłała w eter depeszę następującej treści:

„...Ewakuowana ludność Warszawy jest segregowana w obozie w Pruszkowie. Mężczyźni do 55 lat są wywożeni do Niemiec, często rozstrzeliwani na miejscu...” (WIH, III-42-21).

24 sierpnia, powstańcze „Polskie Radio Warszawa” nadało, o godzinie osiemnastej trzydzieści, dramatyczną odezwę w sprawie Pruszkowa skierowaną do Międzynarodowego Czerwonego Krzyża. Tekst tej odezwy jest szczególnie dramatyczny:

„Uwaga! Uwaga! Tu Polskie Radio Warszawa wzywa Międzynarodowy Czerwony Krzyż! Uwaga! Uwaga! Polskie Radio Warszawa wzywa Międzynarodowy Czerwony Krzyż! W walkach ulicznych w Warszawie, obsadzone przez siebie dzielnice, Niemcy całkowicie opróżnili z ludności cywilnej, po czym domy spalili. Ludność cywilną pognano do obozu koncentracyjnego w Pruszkowie — miejscowości odległej o 20 kilometrów od Warszawy. W obozie tym zamknięci są starcy i chorzy, kobiety i dzieci, pozbawieni wszystkiego, bowiem z płonących domów nie wolno było niczego zabierać. W obozie znajdują się w tej chwili dziesiątki tysięcy osób cywilnych.

Z obozu w Pruszkowie nadszedł dziś pierwszy list (przeniesiony do Warszawy przez pruszkowskie łączniczki AK — przyp. EK), który podajemy do wiadomości Międzynarodowego Czerwonego Krzyża: — Pruszków, dwudziesty trzeci sierpnia tysiąc dziewięćset czterdziestego czwartego roku. Jest nas tutaj głodnych wiele tysięcy. Na miłość boską, pomóżcie szybko bo wymrzemy! Dajcie znać do Zarządu Polskiego Czerwonego Krzyża i zwykłych cudzoziemców neutralnych. Muszą oni natychmiast, ze sztandarem Czerwonego Krzyża i swym narodowym, dostać się do Pruszkowa. Sama ich obecność uratuje nas. Mogą wyjednać wysłanie naszych starszych kobiet po kartofle. Wieś chce nam pomóc, lecz nie wie jak. Nikt tu nie kieruje. U nich chaos. Każdy Polak da słowo, że wróci — i powróci. Nie traćcie ani dnia. Pamięć o nas Bóg nagrodzi zwycięstwem! Nieszczęśliwi uwięzieni”. (CAKC, 2266, zw. 12).

Tydzień wcześniej Delegat Rządu na Kraj nadawał do premiera rządu polskiego w Londynie:

„...Ludność z rejonu Filtrowa-Raszyńska cała wygnana na Plac Narutowicza, a potem do obozu w Pruszkowie. Obozowisko pod gołym niebem obejmuje około 120 do 150 tysięcy osób — kobiet, dzieci i starców — bez pożywienia, w okropnych warunkach sanitarnych. Gina tysiącami. Wracając do obozu w Pruszkowie wydaje mi się koniecznym jego rozbitcie przy pomocy oddziałów z sąsiednich powiatów: grodzkiego i błońskiego, gdyż inaczej wyginie wiele wartościowego materiału ludzkiego ponieważ dzielnica Filtrowa-Raszyńska obejmowała samą inteligencję”. (CAKC, 2266 zw. 7).

Mimo, że pomysł rozbitcia obozu pruszkowskiego, oparty o zgoła nieprawdziwe wyobrażenia o nim, był nieprzemyślny, to jednak pewnych elementów tego pierwowzoru dopatrzeć się można w akcji opisanej przez Marię Sobczak-Jachecką podwówczas także internowaną w „Dulagu 121”.

— „Pewnego popołudnia — pisze Maria Jachecka — w naszej hali zjawily się siostry Czerwonego Krzyża z dzbankami mleka dla dzieci i chorych. Był to również pretekst do tego, co się za chwilę stało. Szeptem oznajmiły nam, że zamierzają wyprowadzić z obozu trochę ludzi i należy tylko cicho i spokojnie dostosować się do ich dyspozycji. Chętni oczywiście byli wszyscy, niestety wybrańców znacznie mniej. Niektórym dano białe fartuchy, innym na rękę czyjeś dziecko, jeszcze inni mieli udawać kulawych i chorych. Wartownik czuwający przy drzwiach hali był zapewne przekupiony, gdyż wyjścia grupy „nie zauważył”.

Siostry kierowały wszystkich do centrum obozu. Nikt z nas nie wiedział co nastąpi dalej. Takie same grupki kierowane były i z innych stron obozu. Teraz wydarzenia potoczyły się błyskawicznie. W momencie gdy wszyscy zbliżali się do bramy obozowej, jak gdyby na jakiś sygnał, rozległ się potężny łoskot i brama — ku zdumieniu wartowników — została rozwalona zderzakiem wielkiej ciężarówki. Na okrzyk: uciekać! — każdy parł przed siebie nie oglądając się. Powstał krzyk, strzelanina i ogromne zamieszanie. Znalazłszy się za bramą — zgodnie z instrukcją sióstr — wpadłam do domu naprzeciwko, oczegującym już tam lokatorom rzuciłam biały fartuch i natychmiast zostałam skierowana na tyły domu do ucieczki. Brnąc przez jakieś sitowia, pod mostkiem, następnie wzdłuż jakiegoś strumyka czy rzeczki, usłyszałam szelest i natopkałam dzieci brata, które zaginęły mi w zamieszaniu. Uciekając już razem z nimi w głąb Pruszkowa kryliśmy się w krzakach i kartofliskach. Po pewnym czasie udało nam się odnaleźć życzliwych nam ludzi, których adres mieliśmy...” (Rocznik Pruszkowski — 1979 r.).

Stacja nadawcza AK „Błyskawica” ponownie nadała 27 sierpnia apel z Warszawy do MCK „o szybką pomoc dla tych stu tysięcy starców, kobiet i dzieci, którzy w obozie pruszkowskim powoli zagładzani są na śmierć”. (CKK, 2266-12,II, s. 119).

Te rozpaczliwe wołanie o ratunek kierowane do narodów Europy i Świata zostały usłyszane. Powtórzyły je rozgłośnie zachodnie i prasa londyńska. Prasa portugalska podała 30 sierpnia komunikat oficjalny o przyjęciu polskiego chargé d'affaires przez premiera Portugalii. Celem wizyty było poinformowanie szefa portugalskiego rządu o położeniu ludności Warszawy i jej losie podczas deportacji do Pruszkowa.

Radio Genewa podało 3 września, że MCK, którego siedziba mieściła się właśnie w tym mieście, wysłał transport 20 wagonów żywności i najniezbędniejszych środków leczniczych dla tysięcy umierających z głodu Polaków internowanych przez Niemców w Pruszkowie pod Warszawą.

Rozgłos, jaki za pośrednictwem radia i prasy zdobył Pruszków, a także starania i zabiegi polskiego rządu w Londynie, spowodowały, że ze świata zaczęły płynąć dary i pieniądze przeznaczone dla cierpiącej ludności Warszawy. Jak zawsze, najszybciej zareagowała Polonia i Polacy, którzy przymusowo znaleźli się na obczyźnie. I tak: załoga „Batorego” przekazała 150 funtów ang., załoga „Śląska” — 400, załogi „Sobieskiego”, „Pułaskiego” i „Kościuszki” zebrały łącznie 1261 funtów. Żołnierze II Korpusu Polskiego we Włoszech zadeklarowali, na rzecz pomocy ludności cywilnej Warszawy — 25 procent swoich żołdów. Uchodźcy polscy w dalekiej Ugandzie zebrali 275 funtów, prezes polskich organizacji w Ameryce — pan Świetlik — przekazał do dyspozycji PCK 125 tysięcy dolarów USA. Niezależnie od tego Polonia amerykańska zebrała i przekazała 250 tysięcy dolarów.

Również obywatele obcych państw, ich rządy, nie pozostały obojętne wobec tragedii Polaków. Robotnicy amerykańscy ofiarowali 300 tysięcy dolarów, rząd brytyjski przekazał MCK sumę 450 tysięcy funtów z przeznaczeniem na pomoc dla ludności Warszawy.

W stolicy Szwecji, 16 września 1944 roku zainaugurowano „Tydzień Pomocy Dzieciom Polskim”. Dochody z imprez, koncertów i loterii, jakie organizowano w ramach „Tygodnia”, przekazano na fundusz MCK z zaleceniem przeznaczenia ich na pomoc dla warszawskich dzieci. Ponadto Zarząd Miejski Sztokholmu ofiarował 10 tysięcy koron na pomoc dla internowanych w Pruszkowie.

Akcja pomocy wygnańcom, nie tylko wychodziła poza granice naszego kraju, lecz nawet — jak wskazują na to dokumenty — była inicjowana przez wroga. 6 listopada prezes RGO Konstanty Tchorznicki wysłał pismo z podziękowaniem następującej treści:

„JWielmożny Pan Dyrektor Hans Starowsky, Dyrygent Filharmonii Generalnego Gubernatorstwa w Krakowie. Wielce Szanowny Panie! Potwierdzając odbiór kwoty zł 44849,—, która złożona została jako dar orkiestry i chórów Filharmonii Generalnego Gubernatorstwa z dochodu uzyskanego z koncertu na rzece akcji prowadzonej przez RGO — poczuwam się do obowiązku złożenia, imieniem Rady Głównej Opiekuńczej, Panu Dyrektorowi, najserdeczniejszych podziękowań. Konstanty Tchorznicki, Prezes”. (AAN-RGO, sygn. 53).

W połowie listopada 1944 roku, do RGO w Krakowie dotarło pismo ze Stalagu XI A od jeńców wojennych Armii Krajowej. Główny Mąż Zaufania polskich jeńców wojennych Stalagu XI A pisał:

„Drodzy Rodacy! Apel dra Franka dotarł również do nas za pośrednictwem „Gońca Krakowskiego”. W zrozumieniu potrzeb nieszczęsnej ludności stołecznego miasta Warszawy, nowoprzybyli z Warszawy zadeklarowali z kwot odebranych im celem zdeponowania w Stalagu: Lazaret „G.L.” — 398.399 zł, Lazaret „A” — 129.879 zł. Razem — 528.278 złotych. Sporządzanie dalszych deklaracji w samym obozie, jak również w komandach pracy jest w toku. Proszę interweniować u dra Franka, że kwoty leżą tutaj w depozycie i dotychczas nie ma zwolnienia na przekazanie ich do RGO w Krakowie, która nimi będzie dysponowała według swego uznania. Leon Hoffman, nr 35127”. (AAN-RGO. sygn. 53).

Niestety, w dokumentach do których dotarłem brak jest informacji o zrealizowaniu tych ofiar warszawskich powstańców uwięzionych w niemieckich obozach jenieckich.

Różnorodne formy pomocy, z jaką spieszyli Polacy rozsiani po świecie i obywatele obcych państw, wspomagały pomoc organizowaną dla warszawian przez placówki RGO i inne organizacje działające legalnie i półlegalnie w okupowanym kraju. Była to jednak pomoc zbyt mała by zaspokoić potrzeby setek tysięcy mieszkańców naszej Stolicy wygnanych bez żywności, ciepłej odzieży i obuwia na długotrwałą tułaczkę.

EDWARD KOŁODZIEJCZYK